

DZWON ZATOPIONY

Bardzo dawno temu, że nawet tego i najstarsi ludzie nie pamiętają – otaczały Poniec srogie puszcze i bagna. Na skraju jednego z tych lasów, pełnych gęstwin nieprzebytych i zwierzyny łownej, w małej chatce mieszkał pewien człowiek. Skąd przybył i kim był, nikt nie wiedział. Gdy do miasteczka zachodził po zakupy, co się rzadko co prawda zdarzało, patrzył w ziemię albo spode łba na ludzi. A że i spojrzenie miał niesamowite, twarz gęstymi, rozczochranymi kudły obrośniętą – bano się go i nienawidzono równocześnie. Wieść się szerzyła między gminem, że ma z samym diabłem konszachty i że w lesie gusła odprawia, służąc bożkom pogańskim. Więc omijano go i jego chatkę z daleka.

Odludek spod lasu niewiele sobie robił z ludzkiego gadania. Pracował na roli i z niej żył. Od miasta wydzierzał kawał mokradeł i zbierał plon. W stajence miał koni parę i krowę wcale niczego, sad mały obok chaty i warzywnik nie opodal. Sam żył ze swą gadziną i myślami, bo jedno i drugie do niego należało.

Naprzeciw zaś jego gruntu, na niewielkim wzgórzu, stał mały kościółek. Kiedyś – w odleglejszych jeszcze od tych odległych – czasach postawili go podobno mieszkańcy Ponieca, chcąc Boga ubłagać, aby morowego powietrza na miasto nie zesłał. Kościółek stał opuszczony. Rzadko w nim odprawiano mszę św., rzadko ze sygnaturki odzywał się srebrny głos dzwonka. Mieszczanie mieli w Poniecu duży kościół – po co więc im było chodzić poza mury miasta, tym bardziej, że droga była niewygodna, bo przez mokradła i topieliska wiodąca.

Jednego dnia wiosennego orał sobie odludek spod lasu grunt swój. Ale praca szła mu ciężko. Ziemia była taka lepka i błotnista, że dwa konie ledwo mogły uciągnąć sochę, dlatego przystawały co chwila. Oracz zachęcał je początkowo cmokaniem, potem krzykiem, wreszcie zaczął walić kijem, gdzie popadło. Nic i nic. Cierpliwość wreszcie opuściła go zupełnie. Wściekł się! Twarz nabiegła mu krwią, czupryna zjeżyła się na łbie, kły wyszły spoza warg tak, iż podobny był raczej do czarta, niż do człowieka.

A w tej samej chwili ze sygnaturki kościółka odezwał się srebrny głos dzwonka. Na to człek ów odwrócił głowę ku świątyni Pańskiej, pogroził pięścią i rzucił takie przekleństwo straszne, że nie tylko uszy nasze, ale i papier nie zniósłby go cierpliwie.

Ledwie je wyrzekł – rozwarła się z hukiem ziemia pod nim, a w utworzoną przepaść runął oracz ze sochą i końmi, runął i kościółek i łąka cała. Na miejscu tym podniosła się woda ogromna, zalała wszystko i utworzyła wielkie jezioro.

Stało ono przez długie lata – jako świadek gniewu Bożego. Nie było w nim ani ryb, ani zwierząt jakichkolwiek, a i kąpiel była niebezpieczna, bo kto jej spróbował, albo tonął jak kamień, albo ciężko zachorzał. Po latach, gdy osuszono bagna, ono jezioro spłynęło i wyschło, a na jego miejscu są obecnie pola orne.

Jeno, kto w cichy, pogodny wieczór przechodzi przez owe pola, lub znużony – położy się na miedzy, by odpocząć, ten słyszy spod ziemi srebrne wołanie dzwonka.

To dzwoni dzwon zatopionego kościółka.